

4

N<sup>o</sup> 6995



**OBRAZY  
LITWISKIE.**



**SERYA TRZECIA.**

Wskaz A  
Znak 489  
№ inw. 2872



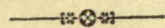
# 205

OBRAZY 2364

LITWWSKIE.

PRZEZ

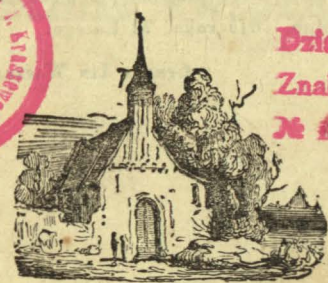
Ignacego Chodźkę.



SERYA TRZECIA.

Tom Trzeci.

Dział H  
Znak 484  
Jeś. inw. 2872



Dział J  
Znak 3444  
Jeś. inw. 3540

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1845.

Uwaga: Wzrosty i Ciepłoty.



Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1845 roku, 22 Lutego.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.

  
**PAMIĘTNIKI KWESTARZA.**

---

Służmy pocziwemu sławie! a jako kto może,  
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.


*Jan Kochanowski.*

---

## PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

—○○○—  
**Rok 1812ty.**  
—

I.



*Od powietrza, głodu, ognia i wojny,  
wybaw nas Panie!* śpiewamy codzień  
w supplikacyi. Piérwszych dwóch plag  
Boskich za moich czasów Bóg na nas  
nie dopuścił; ogień — co bez czego?  
ale ostatniej doznaliśmy już piérwój,  
i doznajemy teraz, ze wszystkiemi jój



okropnościami: rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potem nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencji, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacja świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a ponieważ dla świętej naszej wiary. O BOŻE! BOŻE! czegoż doczekaliśmy? Widać blizkie skończenie świata!!!

---

Mieszkałem ja odlat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka! jakiej to miasto dawno nie widziało i widzieć

pono nie będzie: Cesarz bowiem Alexander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencję.

Kiedy on konno wjeżdżał do miasta przez Autokol, to od huku harmat i wszystkich dzwonów aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał — a któż nie chciał? — mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya Cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramę, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assistencya! jaka parada przy Cesarzu! wiele to tam Generalów! Xiążąt! orderowych Panów!



a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na téj rewii posła Szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamarowanym mundurze, z żółtém piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się téj niby to wojnie; a za górą była już i prawdziwa.

---

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny: bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzien wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu, i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkim, co słyhać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranku, gdym był u Xiędza Kusto-

sza dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi Pan Budowniczy Orzechowski, nasz Tercyarz i sąsiad od klasztoru, i krzyknął:—Tatuleńku! już przeszli Niemen!—

—Co Wasan mówisz? czy pewnie?—

—Anajpewniéj! Wczora moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie, i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet z doniesieniem téj nowiny. Dziś już całe miasto wie o tém, i nie ma sekretu.—

—Więc tu będzie wojna?—

—Jakie to *futurum*? kiedy tu już *tempus praesens*. Jest już wojna, Tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jój i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rossyanie mają się rejterować wgląb kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w lęk. Każ



dadź wódki, Tatuleńku! bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii*.—

Napiliśmy się po raz. — Cóż teraz robić?— zapytał X. Kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugim *nie*. Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu, i przychować dla wszystkiego ważniejsze *pretiosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.—

— A to dla czego?—

— Dla czego?... dla czego?... ot mówilem Jegomościu, *dla wszystkiego...* a kiedy mam otwarcie powiedzieć— dodał ciszej i jękając się— bo powiadają, Tatuleńku.... że Francuzi rabują, a nawet.... kościoły odzierają!..—

— Jak to być może? Falsz! To naród chrześcijański, Mospanie!—

— Już to, podług mojej *ekwanimii*,

chrześcijaństwo u nich wątpliwe, Tatuleńku! Wiész, że Napoleon Bonaparte Papieża z Rzymu wypędził, a syna Królem Rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, Tatuleńku. Ja wieczorem podejść, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł Pan Budowniczy, Xiądz Kustosz zebrał Ojców na *consilium*. Przyszedł, opierając się na kij, staruszek Xiądz Definitor, mój najpiérwszy Gwardyan Miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem, i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiém i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie, i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych więc sprawach



do niego idą poradę. Był on razy kilka już Prowincyałem, i wtenczas naszą wspólną peregrynację po klasztorach opisałem akuratnie w moich raptularzach; nakoniec na starość obrał sobie rezydencję w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszym, które ja niewolą Babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zadała fałsz temu nazwaniu!.. Rozdzieliła nas swoją kosą okrutną *Libityna*... Com ucierpiał i cierpieć, Bogu tylko wiadomo!.. do którego codziennie modlę się za jego duszę. Ale o tém potem.

Zebrany *Patróm* opowiedział X. Kustosz nowinę, i podał do *konkluzji* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli; i takby się rada skończyła; ale X. Kustosz obrócił się

do X. Definitora i rzekł:—*Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.—

—Francuzi, powiadacie, rabują kościoly?—odpowiedział on—być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego ich Cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjsć miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana BOGA chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegóm lub trwogóm. Ufajmy w Bogu; a jego woli i miłosierdziu oddając się, modlmy się raczój za pokój i zgodę panów chrześciańskich. Ot co jest!—

Słowa te Ojca Definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze.—*Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie prze-



mówił, Ojcze!—zawolali; i rada się rozszła.

To było we czwartek dnia 11 Junii.

W piątek i w sobotę ruch wielki! Półki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilię. Wieść o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniej szczyła się. Do klasztoru naznaszano kuferków i na luftach lokowano.

W niedzielę, to jest, 14 Junii, Cesarz Alexander opuścił miasto — kochany i błogosławiony od wszystkich — niech go Aniol-stróż ma w swojej opiece!

Mianował on Pana *Lachnickiego* Prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi. To znowu wielkie jego dobrodziejstwo dla Wilna.

W poniedziałek rozkazano, aby

wszystkie bramy w kamienicach zatarrassowano, okienicy od ulicy w oknach zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wyłaził na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami; a żołnierz, zwyczajnie jak w rejteradzie, samém spójrzeniem przestraszał.

Mnie X. Kustosz wypchnął na wzwiady. Podobno habit mój jednal mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopówki, pod pałac Szozelowski (\*), w którym mieszkał *Generalissimus General Barklay de Tolli*, i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klasztorze, że nie tak blisko nieprzyjaciel,

(\*) Dziś Pomarnackich.



gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie Bernardyńska. Ojciec Definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny?— zapytał on.

— A jużcić nie z tyłu armii, jeżeli nie na czole— odpowiedział X. Kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armia rejteruje?—

— Nie rozumiem— rzekł X. Kustosz.

— A ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjaciel, tam czoło armii, i tam wódz. *Subintelligitur* więc, dla czego Pan *Barcklay de Tolli* jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.—

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła wszędzie warty. Piękneż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmie-

li się, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadszedł nakoniec wtorek, dzień  $\frac{1}{2}$   $\frac{5}{8}$  Junii, którego nigdy nie zapomnę.... w którym ujrzałem razem z całym Wilnem *Potentata* Napoleona Bonaparte-go, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego wchodzącego do naszego miasta.

Ale pocynam od początku.





## II.

Mój Xiądz Definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzien gazety, i tłómaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, niewielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięztwach, o wielkich czynach, i o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świe-

cie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, okolo różnych naszych klasztorów, w których przemieszkiwałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczym inném nie posłyszysz bywało; i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*; to i nie dziw, że nieboszczyk X. *Definitor*, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec.—Nie umrę, Bracie Michale!—mówił on—nim go nie obaczę. Ot co jest!—I zgadł, jak prorok: obaczył go i umarł.

Wysyłali oni z Xiędzem Kustoszem mnie, jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za fórtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu



pod ratuszem stał, złożywszy broń w ko-  
zły, półk grenadyerski (\*), co to mają  
kaszkiety w kształcie głów cukru i szé-  
rokie na nich blachy mosiężne. Żoł-  
nierze gotowali sobie kaszę w kociel-  
kach; inni drzémali, leżąc na ziemi. O-  
ficerowie siedzieli na ławkach, lub prze-  
chadzali się po placu, rozmawiając ci-  
cho i ostróźnie. Liczniejsza ich kupka  
otaczała Półkownika, którego po sutych  
szlifach poznałem. Od téj kupki odłą-  
czył się Oficer, i przejął mię pod Imba-  
rami.—Dokąd? Xiężę! i po co tak ra-  
no?—spytal mię po polsku.

—Do chorego, Panie Kapitanie!—  
rzekłem zakłopotony.

—Podwójnie kłamiesz—odpowie-  
dział on uśmiechając się—i ty nie spo-  
wiednik, boś bez kaptura; i ja nie Kapi-  
—

(\*) Pawłowski.

tan; a może trzecie kłamstwo, i najgor-  
sze, jest w twoim habicie? Gadaj—do-  
dał surowiej.—Mam rozkaz cię wy-  
badać.—

Ale ja przyszedłem już do siebie, i  
pomyśliłem w duchu: skłamałem, ot i  
bieda! Mówmy prawdę—cóż mi się  
stanie?

—Dobrodzieju!—odpowiedziałem  
zatém—że jestem Bernardynem z tutej-  
szego klasztoru, to tak mi Panie Jezu do-  
pomóż! *Mea culpa!* żem skłamał. Stchó-  
rzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.—

—Więc mów, po co tak rano się  
włóczysz?—

—Ciekawość, Dobrodzieju! prosta,  
szczéra ciekawość, i nic więcej; a nie  
tak moja własna, jak moich starszych,  
którzy, chcąc wiedzieć, co się dzieje  
w mieście, wysłali mnie na wzwiady.—

—Więc jesteś szpiegiem? bracie! A



wiesz, czém to pachnie? No, ale nie lękaj się: szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny; wracaj wszelak wnet do klasztoru, i ciekawym Ojców zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości.— Odchodził potem, lecz się zawrócił.—Czekaj, Xiężę!— rzekł— masz oto ubogą moją ofiarę— a dawał mi rubla— oddaj to na mszę na intencję ojca błagającego BOGA, aby kula żony i dziełek nie osierociła....— Westchnął głęboko poczciwiec....

— Dziś zaraz będzie msza na twoję intencję— rzekłem i przeżegnałem go serdecznie.— Dziękuję ci, bracie!— rzekł, ścisnął za rękę, i wbiegł na plac; a ja, korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moją przygodę, oddałem ofiarę Oficera, i wnet sam X. Kustosz wyszedł ze mszą, po której ja znowu za fórtę.

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zawróciłem pod pałac Biskupi, do którego po wyjeździe Cesarza przeniósł się Pan *Barklay de Tolli*. Na dziedzińcu stała karetka ośmią końmi zaprzężona; około jęj kilkadziesiąt Kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno Oficer od Populanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

— Czy jest jeszcze Feldmarszał?— zapytał.

— Jest— odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedziniec, zsiadł z konia i pobiegł na wschody.

— A więc to karetka Pana *Barklaya de Tolli*— pomyśliłem sobie.— Nie ma co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczym,



co z tego będzie? postoję tu w bramie Ś.-Jańskiej.

Po jednym, po jednym, zebrała się koło mnie kupka ciekawych, i znalazł się między niemi Pan Budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

—A więc podług mojej *ekwanimii*— rzekł on— tu jest przyzwoite *locum standi*; i jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.—

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kuryer. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plotł; ten straszyl, ten cieszył; a każdy pytał się razem: co słyhać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takiż latawiec wpadł na śpionym koniu.

Wnet wyleciał Oficer z palacu i po-

biegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku, i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę na Antokol.

Ja znowu do bramy Ś.-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc, do fórty: bo to te podwoje, które się otwierają z murów Ś.-Jańskich naprzeciw bramy Biskupiego palacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i wschody. Tam Pan Budowniczy stał jak wryty.

—Ostatni półk— rzekłem mu— wyruszył nagle na *Niemenczyn*.—

—A zatem podług mojej *ekwanimii*...— Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony, i okazał się na ganku Pan Feldmarszałek, za nim Pan Ławin-



ski nasz były dotąd Gubernator Wileński, i kilku Adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barclay de Tolli* uśmiechał się.

—A to mi gracz! proszę uniżenie!— rzekł Pan Budowniczy— Bonaparte za górą, a on ani dba.— Obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na *valetę* miastu, dobył zegarka, spójrzył nań i siadł do karety; z nim Pan Ławiński tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiodlanych tuż przy karecie biegło; i ruszył powoz tęgim klusem także na Antokol, otoczony strażą z kozaków i dragonów.

—No, teraz, podług mojej *ekwanimii*, u nas *interregnum*— rzekł Budowniczy.

Jeszcze kareta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach

*obstupuerunt*; w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy!

Serce mnie jakoś mocniej kolatać zaczęło, i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie:— Most Zielony wysadzono na powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę i osypały mąką całe przedmieście.— Ochłonęło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z *harmat* zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugim i ogłuszyły wszystkich.— Strzelają do miasta!— krzyknął jakiś *tchórz*. Boże! cóż to za zamieszanie powstało między tłuszcza! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszcze-  
li:— Gwałtu!—

—Stójmy!— rzekł znowu do mnie Pan Budowniczy— to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta?



Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Według mojej *ekwanimii*, strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta, i że nieprzyjaciel blisko. —

I nie zawiiodła *ekwanimia* Pana Budowniczego: przeszedł popłoch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor, i objawić Ojcom to kilka-godzinne, jak Pan Budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summam* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za forte, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *Patrów* i *Fratrów*.

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi naleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą co się dzieje około miasta; inni leźli na wieże i dzwonnice, w takićjże samćj *sperandzie*; inni znowu biegli na Pohulankę, bo ztamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmiecie.

Pan Lachnicki, jako Prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrenćj tacy leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze; jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie nie ma: bo chociaż dwie: *Ostra* i *Zamkowa*, zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Pierwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodziecę, Przeczystą *MARYĘ* Pannę, która Wilno od Szwe-



dów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadomo.

W takim gwarze i zamieszaniu przeszło godzin z parę. Bylem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około Ratusza, i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partię.—Kołą!... kołą!...—wrzeszczeli.

—Kto i kogo kole?—pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno a jedno:—Kołą! Głupia gawiedź—pomyślałem—znowu tchórz ich obleciał.—Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas.... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem... Aż tu wszystkimi uliczkami prowadzającymi na plac: *Rudnicką*, *Żmudzką*, *Suboczem*, sypią się pędem ulani z dzidami na przód, jak do boju (zład przestrah w pospólstwie) i objęli odwacht.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z Oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w asystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulankę złożyć je Cesarzowi Napoleonowi. A tymczasem konnica płynąć do miasta poczęła: naprzód ulani, a potem strzelcy konni, z huzarska ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamarowanój, w kolkaku axamitnym, *permodum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzycząc:—*Wiwat Napoleon!*— a był to szwagier Cesarza Król Neapolitański *Miurat* (\*).

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu

(\*) Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to X. Kwestarza wejścia Francuzów do Wilna zupełnie prawdziwem.



wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtém rozbiegła się wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że Cesarz przy Zielonym moście nad Wilią.

Dalejże ja w tamtą stronę, podchylwszy habitu, aby nie daż się uprzędzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba? Jednak przebiełem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzeć się mogłem na tego najslawniejszego Mocarza! Nigdy nie zapomnę téj chwili!...

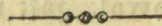
Nad rzeką, po lewój stronie od mostu, siedział na prostym stolku ten człowiek, na którego skinienie miliony ludów drży, a krocie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubilata dobrego nie odstoi; ależ za to *caput!*... znakomite! a oko czarne, pel-

ne, i spójrzenie nie wiem jak opisać?... Kiedy poprowadził po nas.... aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokryta była płytami; więc je wkrótce linami spięto, i stanął most pływający. Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z Xiędzem Korzeniowskim Dominikanem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wyśmienicie, bo X. Korzeniowski mądry człek i po francuzku *expedite* umieć. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z Cesarzem rozmawia; ale jam się nie dziwił; i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie *explikował*, jak nie lepiej Dominikan po francuzku. Łazłem też wcale na przód — a nuż!... ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na konia



siwego mierzyna, (co za komparacya konika tego do rumaka *Miuratowego!*) i przejechałszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwakatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stał naprzeciw góry Zamkowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegnąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzyć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrótce wrócił i pojechał na pałac Biskupi. Tłumy biegły obok, krzyząc wrzeszcząc:—*Wiwat!*— a on kłaniał się na wszystkie strony.



### III.

—**BRACIE** Michale!— rzekł do mnie Ojciec Definitor, gdy zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział— Bracie Michale! musisz mię tak zaprowadzić, abym go obaczył. Powiadałem ci i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, Bracie!—dodał— bo codziennie słabiej... a nie umrę...— mrucał dalej jakby sam sobie starzec— nim go nie obaczę.— Przynależem więc memu ko-



chanemu Ojcu dopilnować momentu, kiedy Cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do fôrty Ś.-Jańskiej.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamieszanie! zawrót!... Jakieś wytrącenie wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zeszedliśmy z codziennego trybu, jakbyś regule zakonną od roku zwolnił, fôrte odemknął, i *obediencję* zniósł. Ledwo stare Definitory i Jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włóczą się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny a cudactwa, jakim się przez cały dzień napatrzeni.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzien wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku*. Pancerni, których kiryisy błyszczą od słońca, jakby złote, na ogromnych koniach, chłopcy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie spadające im od szyszaków po ramionach straszniejszemi ich wydają; kupy jakichciś brodyaszów z szérokiemi berdyszami na ramionach, i z fartuchami skórzanemi, jak kowale; nakoniec cały konny regiment djablów, Panie odpuść ciężkie grzechy, czy Turków, bo to na jedno bodaj wychodzi, w zwycięstwach, u każdego kindżał za pasem, a krzywy jak duha palasz u boku. Powiadają, że to Mameluki od Czérwonego morza, w którym niegdys Król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum!*



Ulice pozawalane zdechłemi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi, i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za półkami, i wraz na rynku albo na ulicy, gdzie półk stanął, jatki i kuchnia; więc ztąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama*, rabują z kretesu; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niegodziwce niektórzy wpadli do kościółka Pana Jezusa XX. Trynitarzów na Antokolu, i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza, i zdzierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godziny sądeni, jak to dawniej powiadano, *Kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali.

Dwóch ich było hersztów, ależ zakamieniali heretycy!... ani xiędza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z temi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże! Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnymi oczami na to nie patrzył.

Patrzac na to wszystko, co się działo, Pan Budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił: — Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć! —



Codzień mi przypominał mój X. Definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu chcącego widzieć go zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się Cesarza.— Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku—odpowiedział *Pater*, gdy mu tę trudność objawił—prowadź mnie, Bracie! bo nie umrę, nim go nie obaczę. Ot co jest!—Poprowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez kurytarz do kościoła mógł się przewlekać, i to z pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i zwa-

wo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

—Jakże go poznam? *Charissime!*—zapytał on.

—Oto tak, *Reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilkadziesiąt ułanów; potem dwóch pancernych, albo dragonów z ogonami końskimi na hełmach; potem na siwym koniku, w ciemnym verdedragonowym z białemi klapami mundurze bez żadnych haftów, w kapeluszu niemieckim trzy-rożnym *On*; potem za nim znowu dwóch pancernych; a potem Generalów i różnych assystentów całych we złocie i srebrozie tłuszcza; na koniec znowu kilkadziesiąt ułanów, a może arabskich Mameluków: bo raz ci, a drugi raz owi zamykają kalwakatę.—

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że Cesarz siada na konia. Tłumy



skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypali się ulani z za bramy... Chwytał on mnie za rękę... i trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem:—To *On!* Ot co jest! To *On!!!*—

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dla czego on tu stoi? Wszyscy zdecydowali, że *musi być tak potrzeba*. Ale gdy Bonaparte go mijal, on postąpił krok na przód i *sprezentował broń*: Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *Patrowi*, bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzeć. Przemówił *On* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma *interes*? Żołnierz podał mu papier jakiś—zapewne *suplikę*. Czytał *Bonaparte*; było we śródku jeszcze kilka innych papierów, i te prze-

glądał; mówił znowu z żołnierzem; nakoniec skinął na jednego ze swoich Generalów, ten się podbliżył; wziął odeń krzyż z piersi, a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz:—*Wiwlamperer!*—a to znaczy: *Vivat Cesarz!* jak mi Xiądz Definitor wytłómaczył; i nauczyłem się téj ekhlamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzeliśmy tego węsala z kresą przez leb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak wariat, całował krzyż swój, a lzy przecież ocierał, i śmiał się i ściszał zgromadzonych około niego kamratów, i nareście kogo napadł.

—No, idźmy nazad, *Reverendissime!*—rzekłem. Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląknem.—Widziałem go więc! widziałem!—szeptał sobie pod nosem,



ani zważając na mnie—widziałem go! Otco jest! *Tunc dimittis, Domine! tunc dimittis...*—Idźmy—powtórzyłem.—Ha! idźmy—odezwał się nakoniec, opamiętywając się; ale ledwo nogami mógł sunąć, i z pół-godziny wlekliśmy się do klasztoru.

—Cóż myślisz? *Reverendissime!*—zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

—Co ja myślę? Bracie mój! co ja myślę?.. oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzałem na tylu ludzi! na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...—

—Ależ Ojcze! prosimy Boga—rze-

kłem—aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?—

—Jak się zakończy?.. jak się zakończy?...—mówił dalej rozmyślając Ojciec Definitor—rzeczy nadzwyczajne nadzwyczajnie i kończyć się muszą.... Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie... Ludzkość wre, kipi, topi się, massuje... Ot co jest... Żuźle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych fuzach... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucają... Tak przewarzona różnorodna massa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę starego Chrystusowego krzyża. Ot co jest!—

—Niewiele ja z tego rozumiem, Oj-



cze!— rzekłem— ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?—

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, mięsza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżęga płomień... i chcąc czy nie chcąc, ulepia materiały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnąć... Ot co jest! Zresztą *digitus Dei hic est...* a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechmogącym... a człowiek choćby najpotężniejszy.... Ale w głowie mi się płacze... Ot co jest! Daj mi Bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!*— rzekł, podnosząc oczy w górę, i modlić się zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa.

## Testament X. Definitora.



### IV.

**O**a! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czeigodnym Ojcem w zakonie, z którym kilkadziesiąt lat mego przeżyłem, i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak, jak niektórzy, **Boże** im odpuść! lizną tam



nieco łaciny i *Teologii*, i już *Jubilaty*, już *Doktory*, na biednych Braci Kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i popijają piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owém naszym oglądaniu Cesarza Bonapartego rzekł staruszek do mnie:—Bracie Michale! codzień słabieję, i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź Wasze i poproś do mnie Ojca Spowiednika.—

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

—Ot co jest! bieda mi z tobą!—rzekł on, ocierając także powieki.—Prawda, wyznaję, żal mi cię, Bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!—

Rzuciłem się w otwarte ręce jego,

a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

—Błogosławie cię, synu mój!—rzekł on.—Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu.... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy.... Ot co jest! Idź, Bracie, po Spowiednika.—

Dzień cały przebywszy na modlach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróжным, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie Xiędza Rustosza, i za jego dozwoleńiem rozdysponował swoje ru-



chomostkę, dając i w tém przykład uległości zakonnój. Bo choć sam nieraz był Prowincyałem, i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatém najmniej do klasztoru nie należała, wszelak i tą rozrządzać bez woli zakonnój zwierzchności nie chciał.

—Rób co cheesz, *Reverendissime!*— rzekł X. Kustosz. Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.—

—Stanie się, jak Bóg chce, kochany X. Kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojém dozwoleńiem, niech tak będzie:

—Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję Bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.—

—Ależ, *Reverendissime*, to krzyż złoty—ozwał się X. Kustosz— a ziarna koronki ze słoniowej kości. Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, Ojcze!—

—Prawda—odpowiedział starzec— krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykulę* drzewa Krzyża Świętego. Ot co jest!

—Darował mi go razem z koronką ś. p. Xiążę Karol Radziwiłł Ordynat Nieświzki, na pamiątkę, żem był jego Spowiednikiem lat sześć, za mego Gwardyaństwa w Nieświżu.

—Panie Kochanku!—rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę—daję Waszemu ten krzyż z mojego skarbcu na to, abyś został Kardynałem: bo to krzyż Kardynała Radziwiłła, który zostałby



pewnie i Papięzem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie jakiś Włoch kondemnatę jemu zarzucił.—

—Ojcie!—rzekłem—Xiądz Kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi i ze świętości, i z pamiątki, i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na oltarzu, jako *votum* za zdrowie twoje, Ojcie, i za przedłużenie życia twego.—

—Ot co jest! Xiężę Kustoszu!... Ot co jest!—rzekł starzec, a X. Kustosz spuścił oczy.

—Zresztą—dodałem—zapomniałeś może, Ojcie, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim?—

—Nie, nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty krzyż Bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój

projekt jeszcze lepszy. Nie prawdaż? X. Kustoszu!—

Xiądz Kustosz zarumienił się mocno... co postrzegłszy Definitor—*Mea culpa!*—zawołał—*mea culpa!* zgrzeszyłem! daruj mi, Ojcie! daruj konającemu dla miłości BOGA! Czyliż mi to czas teraz uragać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek?—Chciał starzec całować rękę Kustosza; ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła Kustosza, że, wyrywając rękę, sam upadł do nóg starca, i—Ojcie świętobliwy!—zawołał rzewnym głosem—mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota nie dla świętości jego, popełnił. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.—



Poplakali się Ojcowie, ja z niemi trzeci; pokłękaliśmy potém i zmówili *Sub Tuum praesidium*.

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od Xięcia Macieja Radziwilla Kasztelana za asystencyę i mowę przy szlubic jego z Chodkiewiczówną. Zaczny to i bogobojny Pan. On także poszedł już za Xięciem Karolem.... Oh! wkrótce się z niemi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, X. Kustoszu!—

X. Kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *Reverendissime!*— oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto Brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go przedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moję duszę.— Nauczyłem cię, Bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc, *bona fide*, należą się

moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacyach na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny Bracióm. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztorną. Ot co jest! i po wszystkim.—





## Śmierć X. Definitora.



### V.

**W**IECZOREM zasnął mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląknem.

—A cóż to? Bracie! rozumiesz, żem upior?—rzekł, widząc moje zdziwienie.— Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecieć duszę

Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot co jest!—

—Ależ mój Ojczy! kościół zamknięty o tój porze.—Mysliłem, że się zapomniał.

—Prawda; ale po drodze zastukamy do Brata Zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez zakrystyę.—

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się, jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przesenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni; lampa tylko na środku wisząca migąła się bladym światelkiem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój zło-



ty z koronką, ucałował go, mnie dał do ucałowania, i złożył na ołtarzu.—Dzięki tobie, Bracie!—rzekł potem do mnie—za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż taż sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!.. Modl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swój wiekui-stej. Ot co jest.—

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył.... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie; słyszałem tylko westchnienia i łkania....

Tymczasem Brat Zakrystyan oznajmił o nas X. Kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej Ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego Definitora, i poklękali obok X. Kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę, i postrzegłem ich w cieniu, jak mary klęczące, które lampa kiedy niekiedy migając oświecała..... Mrówie mię jakieś przebiegło... Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie uszkodziło, powstałem, i biorąc go pod ręce, rzekłem:—Wstań, Ojcze!...—

O Boże! już on nie żył! Przerazony krzyknąłem.

X. Kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądali-



śmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uspiona, a nie zamarła. Bo też i usnął on w Bogu przed jego oltarzem. Plakalem, oh! plakalem, jak nigdym w życiu nie płakał!!! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem, i wszyscy znowu poklekli. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migiała po całunie.



## VI.

**T**YLKO z nałogu już, mój dyaryusz kontynuować zaczynam. Cóż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuzkie. Ledwo tylko kilka sexterników najpiérwszych, i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludoje-dów. Wprawdzie nie ma czego żałować, jednakowoż miło mnie czasami było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj,



różnych ciekawych ewentów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baronów dostawiałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka X. Definitora, *fiat pax* duszy jego, skórką obity, zamykany na wewnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojem nadto był przylgnął do téj mojej pracy, żem często mędrszym się sądził od braci moich, dla tego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc ztąd żadnej sobie chluby lub zasługi, i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obowiązków, których, BOGIEM a praw-

dą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało.

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory: bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Xiądz Kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnemi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

—Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi. Jest to sarkać przeciw wyrokóm Boskim. Nie mówię ja, abyś zapomniał o swoim Ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Modl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym mo-



mencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię ztąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym Bienickim (\*) potrzebują Kwestarza. X. Prowincyał (a właśnie przybył on przed dwóma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i *obedientię*. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię, a doskonałość w tém twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęk tylko w tém, jak się tam dostaniesz? Dadź ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie dojechał, a miałbyś już towarzyszków na kalamaszcze, a raczej nie miałbyś i kalamaszki.—

—Nie ma nad czém i myśleć, *Reve-*

(\*) Bienica — miasteczko i klasztor XX. Bernardynów w powiecie Oszmiańskim.

*rendissime!*—odpowiedziałem.—Nieraz, jako i powinienem, wyprawowałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnych brykach dojeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *Reverendissime!* Dziś dozwol mi jeszcze pomodlić się na grobie Ojca Definitora.—

—Nic nie nagli, *Charissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z X. Prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dójdziesz, gdy po wszystkich drogach wleka się marodery za armią i rabują a odzierają.—

—Nie, Ojczy!—odpowiedziałem.—Słusznie osądzileś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał i na żadne zatrudnienie



zdobyłbym się nie mógł; a w oddale-  
niu od tego feralnego dla mnie miejsca  
lżej mi będzie na sercu, w wypełnieniu  
zaś obowiązków moich znajdę może po-  
ciechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na  
drogę twoje, *Reverendissime*, błogosła-  
wienie, wyjadę. Maroderów nie lękam  
się, bo cóż u mnie zrabują? habitu prze-  
cięż nie zdejmą, bo i ten łatany.—

Nazajutrz więc wybrałem się w po-  
dróż. Pomszy świętej dał mi benedykcyę  
X. Kustosz, który od owego krzyżowego  
wieczora łaskawszym był na mnie wi-  
docznie; dawał mi nawet francuzkiego  
talara na drogę, ale ja podziękowałem,  
bo nie byłem bez zapasu, z którego wzię-  
łem tylko jednego dukata, i tego wko-  
palem głęboko aż na same dno do ta-  
baki; resztę zdałem w *kustodię* poczei-  
wego Brata Zakrystyana, jemu także  
zostawując w depozycie do spokojniej-

szych czasów puszkę piękną cynową  
z tabaką nieboszczyka X. Definitora, i  
jedną jego tabakierkę *per modum* srębr-  
ną; a drugą prostą drewnianą, ale któ-  
rą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to  
jego pamiątka, wzięłem z sobą. Oh!  
czemużem i moich raptularzów nie zo-  
stawił? ale nie mogłem jakoś z niemi  
się rozstać. Spakowałem więc do kała-  
marzyka, kałamarzyk zawiązałem na ple-  
cach, kij w rękę, i w Imie Boże, poma-  
luczku, *per pedes Apostolorum*, marsz!



## Wędrowka do Bienicy.

### VII.

CESARZ Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, puszczając się za swoim wojskiem, które jak powódź popłynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo, i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i kilka mil wgląd kraju, splądrowane pustkami stoją. Bóg dal tego ro-

ku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech Francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemieże. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to narod oświecony, jak powiadają; między czterma, choć jeden może umieć po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine Vestra Dominatio.*—

Spójrzeli po sobie, i znowu do mnie po francuzku.

Odpowiadam na los szczęścia:— *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Mi-*



*norum, alias Bernardinorum; Bientiam proficiscor.*—

—Bon, bon, se bon—odezwali się; a potem bez ceremonii dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiąza-  
li mój kałamarzyk, usiedli na ziemi, i palaszem około zamku majstrować po-  
częli.

—Stójcie!—krzyknąłem po polsku już—pieniędzy tu nie ma—i podałem kluczyk.

—Bon, bon, se bon—poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nic więcej nie nalazszy, rzucili skrzynkę na ziemię, i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach, i rozumiałem, że już między nami *kwita*.

Alé o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielećki, to jest, tlómoki swoje wojenne,

i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzychałem i po polsku i po łacinie:—*Non possum, senex et debilis sum!*—A oni swoje:—Bon, bon, se bon! Maszyr kamrat, maszyr!— I przy téj perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem*, to jest, bagnet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dźwigając dwie cielećki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co miła luzowali na moim grzbiecie swoje tlómoki, aby każdy z nich równą miał ulgę, i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrój gdzieś Judasze dopadli staruszki. Łyknąłem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami; a oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu:—Maszyr kamrat!—

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik.



Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu, i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką; zażyją; a jak poczną czchać, to ja krzyczę:—*Vivat!*—a oni w śmiech, i—Bon kamrat!—I ja też sobie drwię z nich w duchu.—Oho! mądrzy wy jesteście—myśle—ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwachacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy *komitywie*, ale cóż, kiedy cielećciniek nie zdejmują?

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien; kościół stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach, i kilka kogutów,

przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusióm.

Niedługi jednak był ich tryumf. *Cel pal*, i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś wybrnęło na ulicę, i temu wleb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tlómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moje odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to, abym nie uciekł.—Trudno—pomyślałem—uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.—

Rozłożono więc ogień w ogródku wiszniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się, wrzeszcząc:—Kleba! kleba!—

—A zkad ja wezmę?—krzyknąłem wzajemnie.—*Nie ma kleba!*—



—Nie ma kleba!—powtórzyli żałośnie, i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz, wynieśli tylko szczypce złamane i półtalerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał:—Nie ma kleba!—Aha, *nie ma kleba*—odpowiadałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdym postrzegł, że kałamarzyk mój rozlupiony, a jeden z tych Herodów drze moje raptularze i pod drewno podkłada, aby się lepiej paliły! Wywrałem mu ten, który w ręku trzymał, i porwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzył mi on w oczy z zadziwie-

niem i złością, nareście porwał się do mnie z pałaszem; ale moi kamraci podrozni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargaly, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni.... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spójrzył on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mruczając, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ścisnąć, całować, ledwo mnie nie udusili; klaskali po ramieniu.—Bon, bon, se bon! Vivat kamrat!—wrzeszczeli.—Ha!—pomyśliłem sobie—ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że



rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali, sup; znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszym miejscu, i dali srebrną łyżkę z herbem *Kościusza*, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, postrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłómoki, a moje pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć, i już nie chciałem się upominać, aby znowu

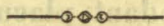
do batalii nie dadź powodu. Poznawszy moją wątpliwość, obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę, i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye, i poniósł kalamarzyk na sobie.

Pod wieczor weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był Komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzóm kwatery, a ja przed rozejściem się naszym zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata, i okazałem każdemu w oczy... Spójrzeli po sobie,



pokręcili głowami, i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupilem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów.—Bon! bon kamrat!—krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do Ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole*; a nazajutrz z blizkim sąsiadem od Bienicy Panem Szczepanowiczem pisarzem bezpiecznie i wygodnie tu zdażyłem.



### Nieboszczyk Kociell.



### VIII.

PAN pisarz wielki *gadativus*, prawil mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

—Czy już mieszkales kiedy w tej rezydencyi?—zapytał on mnie.

—Nie. Piérwszy raz tam będę.—

—To nie wiész zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.—



— Nie wiem, Dobrodzieju!—

— To ja ci powiem.—

— Proszę najuniżeńiej i słucham.—

— Oto tak było (\*). Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej w Litwie familii *Kociellów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Molodecznie*, bo i *Molodeczno quondam* do *Kociellów* należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia *Ogińskich*. Przełękzione czegoś tam na drodze konie jego uniosły, wzięły na kiel i leciały jak szalone, cugle pękły, stan-gret spadł z kozel, a Pan *Kociell* bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natehnięta, uczynić jakie pobożne *votum*.

(\*) Podanie. — N. W.

Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tém miejscu, gdzieby konie stanęły.

— Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

— Pan *Kociell* wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę* modlitewkę swoją, pono-wił *votum*, i we dwa lata na tém samym miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

— Mało na tém, Mości Dobrodzieju!— pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy Matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się już słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pie-



niędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami summe, którą on podyktował; i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

—Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć? aż gdy wkrótce Pan Rociell oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że summy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienieckiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracie*; lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytymi nie były, sam zatém ich strzedz postanowił, i dla tego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękóm nie da.

—Otoż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas Gwardyanem świętobliwy i przykładowy Kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórną *prymicyj*, Xiądz *Czapkowski*; i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

—A więc po solennych exekwiach za duszę jego przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej plity marmurowej, pokrywającej grob Pana Rociella.

—Że nie chciano publikacyi téj roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach, i w zamkniętym kościele, a kilku tylko *Patrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych Braciszków pracować zaczęło.



— Mrówie wszystkim po skórze przechodziło, i robota szła niesporo. X. Czapkowski modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłómacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli Pana Kociella, i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drażgi.... Grob otwarty.... Pokropił go i schylił się doń X. Gwardyan, chcąc zajrzeć wgląd....

— Wtém lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i rozrysował się na kilka części.... i na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich, i wszystkie lampy pogasły....

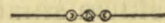
— Ojcowie i Bracia padli na ziemię, jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: „*Requiescat in pace!*”

— Więc Pan Kociell nie dał pieniędzy?—

— A oczéwiście nie dał; i miał rację: bo klasztor, to nie kościół, Mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez to *Requiescat in pace!*

— Otoż jak przyjedziesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swoim miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części; i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz postrzeżono, i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.—

Jakoż przybywszy tu, wszystko własnymi oczami obejrzałem.





## Przed Kwestą.

### IX.

„**I** komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się Kwestarza o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich tylko, gdzie nocowali przeszłej nocy? i czy już po śniadaniu? Po czém nie czekając ani twierdzącój, ani odmównój odpowiedzi, (bo też na to zimne pytanie porywa „jakaś taka złość człowieka, że nawet po Gwardyańskim śniadaniu gotowby

„był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby „jaka taka przekąska), rozkazują słuzącemu przynieść wódeczki dla „gomości Dobrodzieja, dają naprędce „znak ekonomowi, aby wybrał tam „kiegokolwiek pół-żywego barana, i „stawują cię przy stoliku nad darem „Bożym, nie pytając się już o nic więcej. Tym świeckim ludzióm zdaje się „niemal, że Kwestarz Bernardyn „siał się urodzić Bernardynem. I jak, „pytam, po takiej czulości ze strony „dzi zakonnik nie ma nabrać wstrętu do „świata, i nie zamilować swojego „wentu? (\*)” — Tak mi się skarżył Brat *Placyd*, mój poprzednik, Kwestarz w tejże Bienicy, a który, zniechęcony tą *receptą* ludzką, nie chciał już więcej kontynuować swój peregrynacyi, i przy-

(\*) Of d. c.



jął Kanaparstwo po zmarłym Bracie. Dla tego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nieraz bywam tak przyjęty; i tém bardziej mnie to martwi, że przypominam czasy, gdy weale inaczej było; gdy wyprawując mię raz piérwszy na kwestę nieboszczyk Xiądz *Ot co jest*, upewniał mię, „że jest jakaś powszechna domo-  
„wa skłonność dla Bernardynów; że „pobożność, dobroczynność i ludzkość „żyją na Litwie; że Kwestarzy z goto-  
„wym baranem oczekują jak bocianów „na wiosnę; i przepowiadał, że źle bę-  
„dzie na świecie, gdy cnoty te wygasać „będą; gdy szczérość, prostota i poko-  
„ra nie będą już trafiały do serca: bo „wtenczas jad niedowiarstwa i pogardy „naszej świętej religii rozszerzy się jak „plaga Egipska między narodem (\*).”

(\*) Tom II. Wyjazd na kwestę.

Otoż i zgadł. Patrzył on nawet na to zgorzenie, martwił się, *fulminował* z ambony, i przypominał mi swoje pro-roctwo. A jednakowoż przed śmiercią nieraz mi powiadał: „Nie bójcie się, „kupcie się tylko około krzyża z gor-  
„liwą wiarą i nadzieją. *Et crux trium-  
„fabit super aspidem et basilicum!* Bo „Bóg nie opuści sług swoich, i nie po-  
„da na poniewierkę niezbożnym swojej „świętej nauki!” Dajże Boże, aby i to drugie prorocctwo jego sprawdzało się czém prędzej.

Oziębłość więc ta dla nas biednych Kwestarzy, na którą tak się zawzjął Xiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kaluży niedowiarstwa po świecie rozlaniej: bo to mało na tém, że nawpół-żywego dadzą barana, że potraktują wódeczką, od której człowiek trzy dni kotłem swędzi, ale



jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec pocziwie BOGA chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nieraz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm*; zakonnicy, to *popi*; artykuły wiary, to *zabobon*. W piekło jegomość nie wierzy, czyśca nie lubi, na niebo nie zasługuje, i sam nie wie, gdzie podzienie się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u jego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna, ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nieraz, a co mówię nieraz? nie sto razy uszy mi wędły, słuchając takich bredni; a zawsze wołałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach, i jak mi udało się nieraz i niejednego niedowiaraka *skonfundować* pò kwestarsku, jak

niegdyś owego Francuza u Starosty; ale to wszystko z dymem poszło pod francuzką zupą w Miednikach.

---

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś *Professore Infimy* w Cytowianach, na co niewiele potrzeba *sapientii*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno, i mówił szybko, cieżko, jakby lekcyce recytując:

— *Salve* bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, prosź, bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi. Na tracie żyjemy. Gwaltu! Kiedym był *Professore Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostram quotidianum careo*. Jedź, bierz, co dawać bę-



da. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miar-  
ka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratu-  
niecisku! Konie wszystkie pozabierali.  
Jedź!—

—A na czémże pojedę, kiedy wszyst-  
kie pozabierali?—

—Zostawili jednego swego harha-  
rę. Osedniony i chudy, ale pod konno  
dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź,  
bracie! bratuniu! bratuniecisku!—

—Jest jeszcze jedno *impedimentum*  
*grave*— rzekłem.

—*Impedimentum*—przerwał mi sta-  
ruszek—*est generis neutrius. Gravis, gra-  
va, gravum, vel grave*—dobrze zgodzi-  
leś. *Latine scis—bene et valde bene:*  
bo teraz łaciny nie usłyszysz ani za grosz,  
*amantissime fratercule!* to jest, bracie!  
bratuniecisku! Kiedym był *Professore*  
*Infimy* w Cytowianach, to żaki moje,  
pilnując *notalingwy*, lepiej gadali po

łacinie, jak dzisiejszy Pan jaki Marsza-  
łek lub Podkomorzy. A co do zgodze-  
nia *generis masculini cum foeminini*...—

—Ale *Reverendissime!* nie o to idzie—  
przerwałem mu niecierpliwie.—*Impedi-*  
*mentum grave* jest w tém, że jak kwe-  
stować, gdy marodery wszędzie się włó-  
czą? Gdybym i dostał baranów, lub ja-  
kichkolwiek wiktualów, to odbiorą pew-  
nie. Daj Boże, abym sam przynajmniej  
na sucho uszedł.—

—Manowcami, bracie! bratuniu!  
bratuniecisku! lasami, błotami, jedź,  
dojeżdżaj, gdzie można... *Prewodyra*  
schowałem w lesie, zajedziesz po niego.  
Ratuj! jedź!—

Widziałem, że nie nie pocznę z mo-  
im głodnym Gwardyanem, poszedłem  
więc przygotować jakkolwiek wyprawę,  
choć źle bardzo o niej tuszyłem.



Nazajutrz urządziwszy jak mogąc kalamaszkę, i założywszy owego wielkiego kuśego konia, zajechałem przed klasztor.

—Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku!—wolał na mnie z okna poczciwy Professor Infimy.

—Właśnie przyszedłem po benedykcję twoją, *Reverendissime*, na drogę.—

—*Adde: Reverendissime Pater!* bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem *Professore Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuję, benedykuję*; ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.—

—Przynajmniejż daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie Kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy?—

—A zkądże wziąć inszego? Ten, co był i wozil Brata Placyda, zamłodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywlokł się tu nie wiem zkąd, i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy oltarzu do śmierci.—Bóg tam z nim—pomyślałem sobie—*restat*: bo prócz tego, od razu pojął się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potem zachciało się mu jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem:—*Nego*.—Bo kiedym był *Professore Infimy*...—

—Ależ, *Reverendissime!* czas nam gli.—

—To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko. Otoż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tém, że on, *semi-socyusz, semi-woźnica*, ofiarował się towarzyszyć Kwestarzowi. Rzekłem te-



dy:—*Concedo*.—I dobrze się powodziło: bo ten *peregrynant* zawołany, prawie wszędzie *mirabilia* o swoim życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. My sami słuchamy bywało jego rozziawiwszy gęby. Kiedy byłem *Professore* *Infimy* w *Cytowianach*, to Geografię na klasę pierwszą sam umiałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę rozgatunkować, w której części świata on bywał i wojował.

—Otoż jak tu napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszków; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali-to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczytu; a nasz *semi-questarius* chwycił w rękę karabin i pomaszzerował z nimi szczyśliwie.

—*Ad felix videndum*, bracie! bratu-

niu! bratunieczku! Rzekłem i po wszystkimu. Bez niego, ani Brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale szprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi*: bo kiedy byłem *Professore* *Infimy* w *Cytowianach*, to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat*, a wnet żaki szarf!... razu jednego...—

—*Vale*—rzekłem—*Reverendissime!* *vale!* *Ad felix videndum*.—I siadłem na kalamaszkę.

—Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję!*—





## K w e s t a.



## X.

**P**AN BÓG jednostajnie corok obdarza nas darami swemi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosa! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna!.. wojna! chociaż teraz przeszła jak wichur, i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci broń Boża, polknie wszystko, a może i nas samych. Bądź wola Twoja Panie!

Wyjehawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego Ojca Professora *Infimy* w Cytowianach była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańcy powracali do domów i krzatali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i ozięble mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczym nie myślą i nie mówią, jak o tém, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiej niepewności nie ma czasu do filozofii. *Kiedy trwoga, to do Boga!* Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jalmużny; ale jednakże nie jeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytku lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencję* ofiarował mi asygnatę na jesień i do klasztoru odesłać



obiecał; nie jedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wtknęła rubelka, na *intencye*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecię do świętej *filozofi* na mszę nie dawał. Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tém samym miejscu, gdzie niegdyś cnoty chrześciańskie najozdobniej kwitnęły—jako o tém niżej.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi, i kilka baranów wlekło się za przewodyrem, gdym zdaleka dostrzegł dwor wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska Pana. Nazwisko to przypomniałem wnet: dwor to był bowiem Starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne Państwo pozmieralo; że syn

ich, to mile wtenczas paniątko, sukcesdował po rodzicach, i jest we dworze. A więc choć pora była spoźniona i ciemno już, w Imie Boże zawróciłem do dworu.

Cóś mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedziniec—czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych? czy poczciwych ludzi, których tu poznałem, a niepewny byłem, że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój X. Definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiach Wojewo-dzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis*—przeciw srogiej libitynie *nie masz rady w medycynie!* Zawinie się ona bodaj wkrótce i kolo mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcowi poszukać stajni, i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego palacowego skrzydła.



W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju, i znalazłem siedzących za stołem kilku Panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących Królowi Egipskiemu i razem Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! —

— A to co za pop? — razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem: — *Laudetur Jesus Christus!* —

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu — Zkąd cię tu licho przyniosło? —

— A — pomyśliłem sobie — pięknie trafiłem! —

— Jestem ubogi Kwestarz — rzekłem nakoniec. — Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi. —

— Zresztą, na wieki wieków — odezwał się jeden z nich. — Kto cię tu wpuścił? —

— Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego Pańskiego pałacu nie było bronionem dla pocziwych ludzi. —

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożes tu był kiedy? —

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem zacnego, wspaniałego a bogobojnego Pana tutejszego, Starostę... Niech w chwale Boskiej świe-



ci jego dusza. Rozumiałem, że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się: bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześciańskie okazywały się cnoty; ale wiadać, że go tu nie ma; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*—

—Stój! Xięże!— rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szytym.— Jam jest syn Starosty.... i gospodarz tego domu...—

—Tak, tak—dodał jakiś podpily Sampan—to nasz Pólkownik, Hrabia.... Czołem, popie! bo cię skropię!—

—Mógłbyś to i uczynić, Dobrodzieju!—odpowiedziałem—bo trzymasz kielich pełny, a sam już się tego, jak widzę, zakropił.—

—Brawo!—rzekł inny.— Masz za

swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest, oddaj mu swoją szklankę.—

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milezeniu patrzałem na Starościca. On także na mnie.

—Znalesz mię dzieckiem powiadasz?—

—Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i diabła, to jest, Xiędza Kapelana i Francuza. Oh! któryż zwyciężył?—

Odwrócił się Starościc, przecha-dzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzył na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich...

—Tak—rzekł potem—tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka... a może był i poczciwy człowiek. Umarł....—

—Przecież za sprawą tego fanatyka—rzekłem znowu—serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który



ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz...—

— A teraz rozumiesz-że mię bydź nie-ludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów— rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju!— rzekłem— gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, Panie, dla czego?—

Staroście znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie zukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie.— Kaprysisz się, Xiężu!— rzekł.— Co było, to było.... przeszło.... a dukaty zawsze jednostajne...—

Wtém wszedł lokaj i zawołał:— Wieczera!—

— Proszę— rzekł Staroście— do kompanii i ciebie, Xiężu! Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.—

Gdyśmy usiedli do stołu, (a było to w tejże samej sali, gdzie przed dwódmiesiątą z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z którymi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszły mi łzami. Nie jadłem: bo i prócz tego, był to piątek, a mięso na stole; milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam Jego-mość, który mię chciał skropić:— Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z Teologii. Powiedz mi: gdzie w człowieku dusza siedzi?—



Obudzilem się jak ze snu.— A wspomóżże mię, Panie!— pomyśliłem— skonfundować tego chłystka.—

—U żołnierza— odpowiedziałem— który nie broń, ale szklanę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.—

Przygryzli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spojrzeli po sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

—Słuchaj popie! ostróżnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.—

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

—Dokąd? Xiężę!— rzekł Starościc, czy Pólkownik, jak go nazywano.— Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz dla czego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych nie zanied-

bamy. Zresztą nie lękaj się: w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty— dodał, obracając się do pytającego się Sampana— siedź i pij. Nie umiesz Teologii, i dla tego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza? na tém grunt.—

—Dowiedź mi, Kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dadź każę; albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii nie ma.—

Milczałem.

—A co? zabrakło ci conceptów?—

—Dobrodziej!— rzekłem do Starościca— dziś nam wszystkim nie do dysput, a tém bardziej w takiej ważnej materji. Jutro odpowiem na kwestę Pańską, a dziś wszystkim Dobrodziejóm życzyłbym porzucić służbę Bachusa, bo

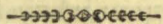


to bożek pogański, a pójść wraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.—

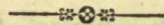
—No, to do jutra nasz zakład— rzekł Staroście.

I nie mogłem inaczéj zrobić, jak odłożyć, a namyślić odpowiedź: bo piérwszą nastęczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyż się nie mogłem.

Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światelko w oficynie niegdys marszałkowskiej, tam się więc zawróciłem.



### Stary Marszałek Dworu i stary Rezydent.



## XI.

—*Ave Maria gratiae...*—posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający:—*Sancta Maria Mater Dei....*—

—A!—pomyślałem sobie—tu przecież trafię po myśli. Może to i Pan Marszałek dawny trzepie różanice.—

—*Laudetur Jesus Christus!*—



—*In saecula saeculorum!*— odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce; przy jednym stała trzcina ze srebrną galką, przy drugim leżała klapka na muchy.

—Może Dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego— rzekłem— za socyusza do koronki, i trzeciego starca do kompanii?—

—*Cum apertis manibus*— odezwał się staruszek biały.— Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.—

—Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się— mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomościa— że oglądam, a oglądam z pociechą prawdziwą, Marszałka Dworu zeszłego Starosty?—

—Tak, tak, *quondam*— odpowiedział, pokręcając siwego wąsa.— Radbym wiedzieć, kiedy to było?—

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie.—Poznaję, przypominam—odezwałem się on.—*Anno millesimo septingentesimo...* był tu brat Kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk Starosta co rok wyglądał, który Budowniczego Kwetkę i Francuza skonfundował gracko...—

—Ten sam—przerwałem—ten sam— i obaj starce rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniej.

—Więc Dobrodziej jesteś ów Pan Chorąży, Rezydent na dworze Starosty?—

—Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako



i wszystkim, którzy się jego Pańskić kłamki trzymali. Daj mu Boże niebo!—

— Widziałem i Jaśnie Wielmożnego Starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go Półkownikiem nazywają, i Hrabią nawet. Widać, że niedawno nim został, bo zeszy Starosta tak się nie *magnifikował*.—

Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł Marszałek:—W pałacu *Sodoma i Gomora!*—

Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale zkadże to przyszło, że syn tak zagnanego i bogobojnego ojca, jak uważam, wcale inny?—

— Oh! długoby gadać Jegomości o naszych nieszczęściach i dniach oplakanych. Siadaj, *Charissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych Państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twojój tu byt-

ności, bo Starosta we trzy miesiące poszedł za swoją żoną *ad patres*, opiekunowie, bodaj z piekła nie wyszli, wywieźli Panicza i Panienkę na edukację do Warszawy. Pocziwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławiliśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potem powrotu Paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli Babilońskić; aż tu nam po długim oczekiwaniu powiadają, że Starościanka poszła zamąż, a Pan Starościc pojechał na wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas milém, pobożném, śliczném panięciem, a przyjechał... Ale *non licet mihi* mówić źle o synie mojego Pana i Benefaktora... Już to on, wiadać, pod taką *konstellacyą* urodził się.—

— A u Wasaną wszystko *konstellacye*, same *aspekta* niebieskie i *horoskopy* wgłowie— przerwał Chorąży, izwró-



cil do innego obiektu ciekawe dla mnie opowiadanie Marszałka o Starościcu.

— A jużci też pewniejsze moje *aspekta*— odpowiedział z gniewem Marszałek— niż Waspana *Apokalipsy*. Terazniejszy kometa nawet nie nie znaczy u Waspana? Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wozek niebieski, czy nie mówilem, że przywiezie biedę na cały świat? To jeszcze będzie wielkie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniem. A tymczasem czy nie prawda? czy nie ma wojny i biedy?—

— Tak; ale Waspan mówił, że taki sam kometa świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, i pokazywał go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą....—

— Nie prawda. Mówilem tylko, że i Turki będą w robocie. A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę, a najbardziej na jego ogon: w którą stronę...—

— Gdy Pan Marszałek zwrócił się do okna, Pan Chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie, i zci-cha mi powiadał:—Ma.... ma....—

— Marszałek wpatrywał się w kometę, a Rezydent rzekł do mnie:—Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę, że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie*.—

— Winszuję— przerwał śmiejąc się Marszałek.

— Wolno śmiać się—mówił także obrażony Chorąży— wolno śmiać się; ale czy nie mówilem Waspanu dawniej, że *Appolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.—



—A przecież — przerwał Marszałek — *litera nocet, litera docet.* —

—I uważ Jegomość — mówił dalej Rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi — jak tu wszystko kwadruje się:

—Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). „*I oto okazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), i dał mu koronę, i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył (\*).*” Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ. —

—Prawda — rzekłem — sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu. —

—O to, to, to, to — rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami —

(\*) *Apocalipsis*, Rozdział VI.

o to, to, to, widzisz Waspan, z Egiptu, z pod Babilonii, „*i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając.*” Jak nie wstydnie wierzyć? —

—A w drugim miejscu znowu co pisze? —

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały (znowu koń biały, widzisz Waspan), a siedzący na nim sądzi i walczy; a oczy jego jako płomień ogniowy.*” Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe. —

—Prawda — odezwałem się — sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunkuly. —

—O to, to, to, to, to. A mójże ty Dobrodzieju! O to, to, to, masz Waspan żywego świadka. —

Marszałek kiwnął głową.



—Nie wierzy, dalbóg nie wierzy!  
Niechże cię bestya o siedmiu głowach  
polknie!

—Dalej tak stoi: „*Ana głowie jego  
wiele koron, a obleczony był szatą  
krwią zmoczoną.*” Chybaż Waspana  
jaka gwiazda oslepila! To już jak łopata  
w głowę. Na dobitkę jakież to woj-  
sko tego *Apoliona*. Oto szarańczy: „*a  
podobieństwo szarańczy, koniom zgo-  
towanym na wojnę, a twarze ich ja-  
ko twarze człowiecze, a miały pance-  
rze, jako pancerze żelazne, a ogony  
podobne niedźwiadkóm.*” Albo zno-  
wu: „*I takżem widział konie, a siedzą-  
cy na nich mieli pancerze ogniste!*”  
Cóż tu Mospanie i wątpić? Francuzów  
jak szarańczy; chmurami idą i niszczą  
wszystko; a sami widzieliśmy, jak oneg-  
daj przyjeżdżał do naszego Pana *ad prae-  
sens* Półkownika zbrojny rycerz w pan-

cerzu ognistym, i z włosistym ogonem  
na głowie...—

—I pewnie z twarzą człowieczą—  
przerwał znowu Marszałek.—W tém tyl-  
ko sęk, że, jakeś Wasan wczora czytał,  
tój szarańczy zakazano, aby nie psowała  
trawy, ani wszelkiej zieloności; a Wa-  
sana szarańcza żyto kosi.—

—No to cóż? no to cóż?—odpo-  
wiedział zakłopotany nieco Choraży—ko-  
si, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto.  
Sądźże sam, Xiężę Kwestarzu, czy to  
nie widocznie? czy to nie jak na dłoni?  
Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przy-  
szedł swoją drogą i pójdzie swoją dro-  
gą. Nie ma z nim biedy. Ale co będzie,  
kiedy druga pieczęć otworzy się? i trze-  
cia, aż do siódmój? kiedy *Gog* i *Ma-  
gog* (\*) nadejdą....—

---

(\*) *Ibidem, Apocalipsis.*



— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem Marszałek. — To mi głowa do tlómaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna, a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz Wasan, że będą znaki na niebie. —

— O to, to, to, to, wraz Waspanu o tém się sprawię — rzekł, biegnąc staruszek do alkierzyka po Biblię.

A tymczasem Marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił zeicha: — Ma.... ma.... tu... ma!... —

— Obu wam biednym klepki nie dostaje — pomyśliłem.

Otoż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą

piękną i animuszem dodający lustru i powagi Pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym; teraz pokurczeni, podupadli, niedołężni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem: — Dobrodzieje wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety, i wszystkie bestye i smoki. —

Spójrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i oba usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromione w swawoli.

— Na którejże tajemnicy przestali-



śmy? Panie Choraży!—zapytał Marszałek.

—Na ósmém *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na Pana Marszałka kolój.—

—*Ave Maria gratiae plena*...—rozpoczął zatem nabożnie Marszałek—*Sancta Maria Mater Dei*.... odpowiedzieliśmy, i dokończyliśmy koronki, po której posłałem się na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układował, spójrzył przez okno na kometa, a Rezydent Biblię pod głowę podłożył.



## S n y.



## XII.

**O**BUDZIŁEM się. Moi gospodarze wstali raniiej i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie pociachu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

—Imaginuj sobie Wasan—mówił Marszałek—śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi wlekl. Głowa rychtyk



jak w *Janinie* (\*) wymalowana. *Horret animus!* na sam ten widok pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie:—  
Za-pa-dasz! za-pa-dasz!—Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się.... aż patrząc—  
zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem: bo płótno pękło do reszty, i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz Waspan, z kąd kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe?—

— *Extraordinaryjna* rzecz! Panie Sebastyanie! *extraordinaryjna* rzecz!—  
odpowiedział Rezydent; a tém bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny.

— Imaginuj sobie Wasan, śni mi

(\*) *Janina* — opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Xięge tę piękną czytałem w klasztorze Wileńskim.

się, że wychodzi z morza *bestya* ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi, i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrafi ze wszystkich trąb, aż ziemia zatrzęsa się!.. Gwalt! Zatknałem uszy—nie nie pomaga!.. Dreszcz mnie przeszedł, ocknąłem się. Aż to Xiądz Kwestarz, ta *bestya*, chrapie na całą izbę. No proszę uniżenie, pytam Waspana, jakim to sposobem z Kwestarza zrobiła się *bestya*?—

— Sen mara—rzekłem powstając—  
a dzień-dobry Dobrodziejóm.—

Nle wspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i—  
Na co wola?—zapytali—na piwko? czy na kawę?—

— *Et hoc facienda, et illa non omit-tenda*—odpowiedziałem—można jedno drugiem zapić.—



—Wyśmienicie! Obu nam zrobisz la-  
skę. Bo widzisz Jegomość—mówił Re-  
zydent—obadwaj w rannym posilku ży-  
wimy się *de propriis*. Nie ma kawiarni  
wspólnej, jak dawniej; więc Pan Se-  
bastyan, większej ode mnie *substancyi*,  
kupuje sobie kawkę, a ja *cerevisiam*  
popijam.—

Po śniadaniu takowém podwójném  
wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki!  
jaka różnica od tego, co dawniej było!

—Musiała i tu być szarańcza fran-  
cuzka—rzekłem.

—Nie. My sami tak pięknie wszyst-  
ko to urządzili, a zaczęli zaeni Jaśnie  
Wielmożni Opiekunowie. Poszły świd-  
rem i dostatki i fortunki ojcowskie, a  
synek bogatego Pana będzie mógł wkrót-  
ce powiedzieć:

*Chodziłem niegdyś strojno, a teraz odarty.  
Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty (\*)*.

—Oh! niech go Bóg od ostatniej  
ruiny zachowa, bo-bym tego nie prze-  
żył!—

—I ja także—dodał Rezydent, a oba  
z lez oczy otarli.

—Teraz—mówił dalej Marszałek—  
do towarzystwa Venery, Bachusa i Fa-  
raona, przybył Mars. Nie wiem, czy on  
nam pomoże? chyba że Panicz nasz  
miał go w swoim *horoskopie*: bo jeżeli  
rodził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku*  
miał *Lwa*...—

—A dajże Wasan temu pokój!—  
przerwał niecierpliwie Chorąży—dajże  
Wasan temu pokój! Nie może być ina-  
czej, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy

---

(\*) Dawne wierszyki z przestroga młodym  
mawiane.—N. IV.



„Smok wielki rydzy, pozrze dziecko nie-  
 „wiasty (\*), natenczas upadną wszyscy  
 „mocarze i bogacze tego świata.” Więc  
 i upadają bogacze, a między niemi i Sta-  
 rościc. Bo mogą dowieść jak na dłoni,  
 że smok rydzy znaczy....—

—A niech cię kaduk porwie i z two-  
 im smokiem rydzym!—wrzasnął znie-  
 cierpliwiony Marszałek.

—Niech ciebie porwie z twemi ho-  
 roskopami—wrzasnął wzajemnie Rezy-  
 dent—bo to, prawdę mówiąc, magią  
 pachnie.—

—Dajcie pokój Dobrodzieje temu  
 wszystkiemu—rzekłem.—Ot wolój po-  
 wiedzcie mi i pokażcie, czyli dawna kap-  
 lica piękna stoi jeszcze? i czy nie zruj-  
 nowana tak, jako i wszystko, co tu  
 widzę?—

(\*) Ibidem, Apocalipsis.

—O, nie, chwała Bogu, nie!—odpo-  
 wiedział Marszałek—obaj my z kocha-  
 nym Chorażym jesteśmy zakrystyanami  
 tój świątyni Pańskiej, i z ostatniego wa-  
 żym na jej utrzymanie. Co niedziela mo-  
 ich parę kuców posyłam po Xiędza, i  
 mamy mszę świętą, do której kolejką  
 jeden z nas służy. Ludek prosty i kilku  
 starych sług, którzy nam dotrzymują  
 w tém życiu kroku, gromadzi się naten-  
 czas około nas, i razem chwalimy Bo-  
 GA, a modlim się za duszę naszych Pa-  
 nów i Dobrodziejów.—

—Tak, tak—dodał kollega—póki ży-  
 jem z kochanym Marszałkiem, nie da-  
 my upaść temu Domowi Bożemu.—

—Jaka przykładowa jedność około  
 chwały Bożej—rzekłem— a w innych  
 materyach...—

—Cóż robić?—przerwał Marszałek—  
 Jedni na starość uczą się rozumu, a dru-



dzy..... a drudzy—mówił, patrząc zukosa na Rezydenta— a drudzy, *Boże odpuść!!!*—

—O to to to to to—przerwał znowu Rezydent—jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy—rzucając także zukosa okiem na Marszałka— a drudzy... *Jeżu mój Panie!!!*—

Obejrzeliśmy kościółek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał Pólkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu, i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

—Dzień dobry!—zawołał on, postrzegłszy mnie.—A chodź-no tu, Xieże Kwestarzu!—

—Podszedłem do ganku, oddałem pokłon, i postrzegłem, że Staroście blade,

smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o nim przejęła. Stał mi on na pamięć w milój maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dla czegoż biedny został wczesnie sierotą? Słowem, sam nie wiem dla czego zapytałem:— Czy nie chory JWPan?—

—Dla czego?—

—Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, Dobrodzieju!—

—W rzeczą samą—rzekł on—jestem słabym.—Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem naprzód sam siebie dzieckiem. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszdyła jakieś, mary... Zrywałem się,



odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakimś morzu. Łódź pękła—potonałem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w kryształach, widziałem daleko i szeroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych: białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mnie, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy, i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch; chwytalem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku, ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mnie, dusiło, jak topielca, i niktą znowu z odbiegającymi wałami, na chwilę wolnie oddychać mi dozwalało.... Ocknąłem się nakoniec; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak

(i jakaż to jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnęła. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie, wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, na próżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głuche, mówiące mnie przejmujące.... Dzwony potem się odezwały, kościół się blade oświecał... mogłem rozpoznawać co się działo... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniej natenczas wydawało, i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych poznałem ojca i matkę moją. Chciałem biedz ku nim; ale, jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągałem. Przyin-



nych kolumnach stały także posągi. Między niemi byłeś i ty, Kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach; był i dawny mój nauczyciel X. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególnie rodziców moich, ogniem pałały.... Okropny był stan mój!.. Nakoniec w takiem martwém otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję..... Pod dzień spokojniej zasnąłem.—

—Dziwny sen, Panie!—rzekłem, sam nad nim rozmyślając—dziwny sen!... Któż wie, czy nie nauka?—

Staroście stał zadumany.

—A nauka—odezwiał się wczorajszy kropiący Jegomość—nauka, że mięszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczora po odejściu Kwestarza piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum

i pamięć utopić pragnął. Dla tego we śnie utopileś się w morzu szumiącym, a węgrzyn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.—

—A więc może Dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.—

—Jak to? i ty także śniłeś?—odezwiał się Staroście?

—Tak—rzekłem— a nawet sen mój ma niejakąś *konjunkcyę* z Pańskim.—

—Mów—odezwiali się wszyscy.—  
Słuchamy!

—Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem? nie wiem; i nie będę opisywał Ichmościóm wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dosta-



niecie się i zlustrujecie wszystko należycie.—

—Aż kąd ta pewność, popie—przerwał tłómacz snów—że my tam będziemy?—

—*Qualis vita, et mors ita.* Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępiący w smole, jak pampuszki w oleju, posłyszałem:—Bracie Michale! ratuj mnie!—Obejrzą się, kto tu mój znajomy? aż postrzegam mojego kochanego Starostę, ojca Pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a Francuz, dyrektor niegdyś Pański, który w piekle funkę pieczurnika spełnia, poddmucha ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smole, jak kuchcik garnki na kuchni, i urąga się JW. Staroście.—Ach Dobrodzieju!—rzekłem—*ex inferno nulla redemptio!* Cóż ja

tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy Pan poszedł na potępienie?—

—Za syna mego tak pokutuję—odpowiedział mi żałośliwie.—On mię tu wsadził, za to najbardziej, że, zaniechawszy rad i przestrog poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zblu-



zni, spada to wszystko na moje i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnot splywały, dolewa on mnie codziennie po garncu gorącej smoly....—

—Lżesz! Xiężę!—przerwał mi Półkownik, rzucając fajkę—kłamiesz nie-dorzecznie! Ojciec mój tak pocziwy człowiek, że pewnie w niebie.—

—Czy tak? w niebie? A więc miał duszę!... *Sequitur*, Dobrodzieju!...—

—Żeś wygrał zakład—przerwał uspakajając się Starościc i uśmiechając się.—Chętnie ci zapłacę przegraną.—

—Brawo Kwestarzu!—zawolali towarzysze—brawo!—

—Ale to mało na tém, Dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i pocziwą, ten obdarzy Kwestarza; a kto jęj nie ma, niech nie daje, bo od bydłat nie biorę.—

Spójrzeni po sobie wszyscy, rozśmiali się, i każdy do kieski. Starościc dukatów dziesięć, a ci Ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał Starościca, rzekł on mi:—Bracie Kwestarzu! nie zapomnę twój tu bytności... z wielu przyczyn i względów... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl, ażebym moją wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie.... Wszystko się jeszcze odmienić i.... poprawić może.... Bóg nam natenczas inne sny.... pomyslniejsze zapewne zesłać raczy....—

Podniosłem oczy i ręce w niebiossa. On się odwrócił i śpiesznie odszedł.

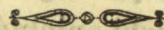
Pożegnałem potem pocziwych, a po części zdzieciniałych moich starusz-



ków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornej gorzalki, a Rezydent ze swój partykularnej spiżarni szczupaka wędzonego na zakąski, i ruszyłem, zwracając się ku domowi.



## Ł o s t a j e. (\*)



### XIII.

**Z**AKOPAŁEM znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony niedawną *experyencyą*, że nosy maroderów na tabakę se bon! ale kruszcem podnię zwierzyć nie mogą; i włokłem się, zbliżając się codziennie do Bienicy. Baranów zebra-

(\*) Nazwisko okolicy kraju w powiecie Osmiańskim, zamieszkałej przez Tatarów.



ło się kilkanaście, i miałem nadzieję dostawić ich w całości Xiędzu *Professrowi Infimy*.

Jużem się pod *Krewo* podbierał, i wjechałem w lesne i pagórkowate okolice, między którymi i samo *Krewo* sytuowane, gdy postrzegłem po wzgórkach i dolinach rozrzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, że i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

—Już blisko *Bienica*—rzekł *Jaś* wiozący mnie—tylko półtora mili. To *Łostaje*.—

—A cóż to za *Łostaje*?—

—Tu na *Łostai* mieszkają *Tatary*. Oto dworek Pana Rotmistrza *Ułana*, tamten Pana Porucznika *Baranowskiego*, tamten przy meczecie, to ich *Molny*, a ten przy naszej drodze, to największego ich Murzy Majora *Amurata Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.—

—Ha!—pomyśliłem sobie—więc nie ma po co do Muzułmanów zajeżdżać. *Mijaj*—rzekłem do *Jasia*.

*Mijaliśmy* więc dworek Pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami, i—*Stój!*—zawołał.

—Niech będzie... upadam do nóg!—zacząłem z nalogu, dokończyłem postrzegłszy się.

—Na wieki wieków... kłaniam



uniżenie! — odpowiedział uśmiechając się. — A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

— Spieszę — rzekłem — do klasztoru. —

— Kłamiesz, Xieźulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że Muzulman zamknie ci wrótta, albo powie: *fora ze dwora!* A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej *Witoldowki*, a obaczysz, że koldun Tatarski wart Bernardyńskiego brzucha. —

*Hora canonica* zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kolduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to

tam u nich i młoda źrzebięcinka ucho dzi podobno; ale jednak niebardzo temu wierząc, i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam Pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, lysy jest, ale wąs ma zawiesisty, i nie po dworsku zakręcony i gumowany, a suty, siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* zaszéroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Héj *Ajeszko!* — zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na Tatarkę ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, postrzegłszy mnie.



— Oto moja jedynaczka — rzekł Pan Major. — Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę koldunów wysyp do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, Miłościwy Xiężulu! ale o wódeczce w Alkoranie *cyt!* Azatém my winu дам *kwit*, a wódeczkę i luleczkę ciągniem sobie po troszeczkę.

— Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu *klauzura*, a po naszymu *harem*. —

— Jak to? — zapytałem — więc Jegomość utrzymujesz seraj? —

— Oho! przeląkłeś się! Agdybym i utrzymywał, co Waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokoj się: my doświadczyliśmy, że z jedną kobietą często trudno dójść lądu, a cóż dopiero gdyby ich mieć tu-

zin! Tam stancya mojej córki, i nic więcej; a jam wdowiec. —

Weszliśmy więc do izby Pana *A-murata*. Piérwsza obszerna. Stół dębowy na śródku, zédle naokoło. Druga maleńka. Tam łóżko i na ścianie wojen-ny rysz tunek Pana Majora. Między tym zdziwił mnie luk jakiś starodawny, więc zacząłem ony rozpatrywać.

— A co? Kwestarzu! dziwisz się bro- ni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza fa- milijna pamiątka, jest to luk naszego przodka *Kara Mirzy*, który długo wo- jując z Litwą, nakoniec gdy w bitwie jednéj dowodził przeciw Xięciu Witoł- dowi, okryty ranami dostał się z wiel- ką częścią swéj Ordy w niewolę. Poo- sadzał ich Miłościwy ten Xiążę a wa- leczny rycerz w różnych miejscach swo- jego kraju: w Niemieczy, w Wace, a



*Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostaj* ziemię. I Xiążę nazwał go *Bielakiem* naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny* (\*). Służył mu potem *Bielak* w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski Xięcia.

Dawno to już było, Panie Bracie, bo przed laty czterysta, a może i więcej, plemie Tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i luk ten jego. Z głowy na głowę dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani luku żaden *Bielak* za miliony nie odda; a choć który zholeje, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle

(\*) Podanie.

nie wpuścić cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do *korda* każdy gracz; do trzeciego Tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał; a tchórze i piecucha z tureckim abszystem wypędzilibyśmy z *Łostaj*; i żadna Tatarka nie poszłaby do jego *haremu*, to się rozumie, nie wzięłaby go za męża.—

Przy tym rozhowerze Pan Major dostał flaszkę z policy, i — do Wasana — rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy, rzekł:—*Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!—

—*Tacto pectore!* a to co?— rzekłem zdziwiony — zkad ta łacina?—

—Zust szlacheckich, Mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, różgi nie widziałem, ale przysłowiów poczciwych



szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział Tatar Litewski: *tacto pectore!* to jakby na głowę *Mahometa* przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem Generała Bielaka, którego znała cała Litwa.... Dźgnij zatem Bracie Kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kolduny w ukropie.—

— Jakoż wnet weszła Panna *Ajesza* z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę koldunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiadliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego rodzaj żeński osobno stoluje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panóm swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kolduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie

mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła, i popiliśmy dla *konkokcji* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu; Pan Major jakby tego nie widział; potem i jemu samemu; a po takim bankiecie, niedługo czekając, poszliśmy oba spać do odryny; i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, Xiężulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.—

— A więc tu na Łostai nie widzieliście maroderów francuzkich, kiedy jeszcze są barany.—

— Oho! jak to? tak blisko traktujemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witoldowce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francu-



zami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest, trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, palasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzienn więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

— Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkadziesiąt, ale i nas było ze trzydziestu; w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków z czem kto miał: z fuzją, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło się wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielecinkami. Gdy weszli w ulicę, postrzegli nas na dziedzińcu—zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się na-

radzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę co widzisz wygrodzoną ulicę, i pominą moje zasadzkę w życie za plotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

—Wzajemnie zakomenderowałem:—*Dubeltówki z ramienia!*—i maszerowałem ku nim.—

—*Russ?*—zawołali oni, podnosząc karabiny.

—*Tartar!*—odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a palasze gołe wisiały u nas na temlakach na rękach.

—Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hojże* ku nim! Razem gwiznąłem przeraźliwie, i rezerwa moja wypadła z krzykiem z za plotu. Nie było im czasu do karabinów,



albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc:—*Pardon!* albo *caput!*—a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula mu byłaby w sercu... Przerażeni w mgnieniu oka pardonowali się, i batalia wygrana. Zabraliśmy cały oboz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich moją damascenką uciałem dwa bagnety, jakby świeczki lojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla Waści Xiężulu, bo ci barana dadź mogę.—

Jakoż i dał.

—A pokaż-no, Dobrodzieju—rzekłem wróciwszy do izby, gdy nam Pan-

na *Ajesza* kawę podała—ową *damascenkę*, którą bagnety jak świeczki rozci nasz.—

—Zkądże ta Bernardynowi *sympatia* do palasza?—

—Aj, bo go niegdyś, jako szlachcie, przy boku nosilem.—

—Oto go masz—rzekł, zdejmując z kolka i obnażając z pochwy.—To moja sukcesya po ojcu moim Generale Bielaku. Wart by dź obok luku *Kara Mirzy*, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.—

—Prawda—rzekłem—klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdament nasz.—

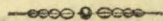
—Tak, bracie!—odpowiedział *Amurat*—takie palasze nosim przy boku, i sami takimi jesteśmy. Rozumiész?—

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomienily, i rzekł dobitnie:



Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce—to *klina*! Szlachecka mowa i głowa—to *furdament*!—

Wtém *Molna* zaryczał na meczecie; Pan *Amurat* szedł na modlitwę; i pożegnaliśmy się *ad felix videndum*!



## El ż u t k a.

### XIV.

Szło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zacnego Muzulmana.—Półtora mili przebęde łatwo—myśliłem sobie—jedna tylko ciężka będzie rappa, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam se bon kamrat! to jedna chwila, całej kwesty, a szczególniej baranów, pozbawić mię może. Co do złotka—myślałem—zjedzą djabla.—



Powstając więc coraz na kalamaszce, rozpatrywałem się pilnie na wszystkie strony, jak źóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopulka kościoła Bienickiego. Chwalaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcież zdrowe barany!!!

Jakoż wnet w moich oczach przewodyr i kilka przy nim legło na placu pod bagnietami tych rycerzy. Poczciwy baranisko! przyzwyczailem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabeczal biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem Kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcóm pięknie ułożonych przewodyrów, i częstokroć to tylko jedni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali, i jedni, których żalowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i

mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizya kalamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis!* — krzychałem; ale ci zapalczywsi od piérwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i bótów. — Dobrze mi tak — pomyśliłem — a czemu, podług reguły, nie noszę trepków? —

Inni lupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

— Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, rozśmiał się, i klapiąc po ramieniu, zawołał: — A kamrat! *Vilna*, *Osmana* — słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! — pomyśliłem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych przyjaciół, więc mnie przecię zaproteguje. — Uścisnąłem go z affektem, i on mnie. Potem prawil im widać historję naszój



wędrówki i popasu w *Miednikach*. Sluchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec jakby przypomniał rzecz ważną zacny *narrator*, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął:—Kamrat! tabak!—

— Zmieszalem się. Poznał Francuzisko mój kłopot; szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem *Herod* postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki, i kilka rubelków wysypało się.... *Obstupuerunt* lotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinkwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca tej *minery* przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czérwone złote, a każdemu dał po jednym; gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie py-

tając się na migach, wiele rubli za dukat należy. Po takiój dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał szkrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał.—Bon! bon! se bon kamrat!—

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła, i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się slyszeć na dworze i—Stój!—zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ulanów i Oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francuzku. Cós mu odpowiedzieli. A on do swoich:—To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans—marodery i rabusie. Otoczyć ich!—

W mgnieniu oka rozkaz ten spełnio-



ny. Już nawet nie mogli wrócić się do stodoly, gdzie gdyby bronie dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

—A co tu między maroderami robisz? Xiężę Bernardynie! czy rabujesz razem z nimi?—

—Owszem, Dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi Kwestarz z klasztoru Bienickiego, który oto postrzegasz Dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent. Jakoż Pan Bóg poblogosławił, i z kilkanaście baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mi ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goly i bosi, bo mi i bóty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.—

—Krzyknął jak lew rozjuszony na

Francuzów Oficer, że aż ja zadrzałem; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew, i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy którego napadł, jak huknie na ulanów, a ci w toż samo.... Widzą rabusie, że kuso koło ich.—*Pardon! pardon!*—zaczęli wolać, i składali Oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie?—zapytał on, odając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie — odpowiedziałem nie licząc — bo Bóg tam z nami nareście.—

— Nie wszystkie — rzekł on — bo oto masz jeszcze jednego — dając mi własnego czérwieńca *cum effigie Bonapartego*.

— *Deus te benedicat!* młodzieńcze! — zawolałem. — I tę twoją własną ofertę, i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej łaski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoją for-



tunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.—

—Mam też w marszrucie—odpowiedział—nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję, i ruszajmy.—Chłopcy! kilku z koni! poskładać porzniete barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a Ojcowie i dla nas nie pożalują jednego na wieczerzę.—

—Z całego serca i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moję kalamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając Pańskich bagażów.—

—I owszem—rzekł Oficer.—A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć

we śrzodek; a jeżeliby który się upierał, plazem! choć nie szkodziłoby i rębem; tylko że ja mojej *Elzutki* nie chcę powierzać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy.— I schował szablę do pochew.

*Elzutka!* coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elzutka!* Spójrzałem na tę szablę—osada staroświecka... zdaje mi się znajoma. Spójrzałem na samego Oficera—twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Francuzi mrużąc wkładali swoje cielecinki, a ułani przypędzali ich grzecznie plazami.

—Dla czego się we mnie tak wpatrujesz? Xięże Kwestarzu!—zapytał się Oficer.

—Daruj—rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd



wzruszenia głosem — daruj, zacny wojownik, że się zapytam: czyli to twoje szablę nazywasz *Elzutką*? i jeżeli tak, od kogo ją masz?—

— Tak — rzekł — to moja żonka *Elzutka*, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia i życia, i nieraz mi już to oboje uratowała. A zareczył mię z nią ojciec mój. Bratu memu starszemu dał za przyjaciela i *sekundanta Harasima*, mnie za towarzyszkę *Elzutkę*.—

— To więc ty jesteś — mówilem, patrząc nań lżą zabieglém a niepewném jeszcze okiem — to więc ty jesteś *Władysław Swieboda*, syn *Stanisława*!!!—

— Zkąd mię znasz? Xiężę! co to znaczy?— I zsiadł z konia.

— Na rękę cię mojem nosilem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca two-

jego za jego życia, modłę się codziennie za jego duszę po śmierci. Tę szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdziękając ubogą zakonną sukienkę....—

— A więc ty jesteś *Michał Ławrynowicz*!—zawołał on.—Tak! przypominam cię jak przez sen!... Tyś towarzyszył młodości ojca naszego.... o którym ty lekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... a oddając mi nawet tę szablę, i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiém i łzami, jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?...—

— Ja!— rzekłem — ja sam!...—

Młodzieniec rzucił się w moje objęcie.

KONIEC RĘKOPISMU KWESTARZA.

Wydawnictwo Literackie  
15



## Spis Rozdziałów.

	<i>Stronica.</i>
<b>ROZDZIAŁ I.</b> Rok 1812ty. . . . .	7
— II. . . . .	20
— III. . . . .	37
— IV. Testament X. Definitora . . . . .	49
— V. Śmierć X. Definitora . . . . .	58
— VI. . . . .	63
— VII. Wędrówka do Bienicy . . . . .	70
— VIII. Nieboszczyk Kocieli . . . . .	81
— IX. Przed Kwestą . . . . .	88
— X. Kwesta . . . . .	100
— XI. Stary Marszałek Dworu i stary Rezydent. . . . .	113
— XII. Sny . . . . .	127
— XIII. Łostaje . . . . .	145
— XIV. Elżutka . . . . .	161



